



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GŁOCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

KILKA WSPOMNIEŃ O SZOPENIE

Z MOJEJ MŁODOŚCI

przez

Wielisława.

(Dokończenie, ob Nr 33).

W roku 1836 jakiś litograf czy student, tłustą kredą czarną, olbrzymimi literami na tem wszystkim wypisał: *Same głupstwa!* Deszcz ołówek zmywał stopniowo, że tylko widać było intytulacyą *Droga Józio!* Później kurator Okręgu Naukowego Warszawskiego, Okuniew, zabronił publiczności wstępu do ogrodu, kazał stare ławki usunąć a postawić nowe.

Pierwszy koncert publiczny Szopena odbył się w Teatrze Narodowym, przy Placu Krasińskich; można go uważać za chybiony.

Raz miał Szopen zajście z organistą, przy kościele Panien Wizyty, Białeckim, poczciwcem, w sztuce swej poruszającym się jak koń w deptaku. Zdarzało się, że Szopen, nie mogąc znieść lichych oklepanek, sam do klawiatury zasiadał i improwizował bez względu nawet na księdza, odprawiającego Mszę. Takie wybryki tolerował mu komendant organów wizytkowskich; ale gorzej było, gdy młody muzyk, posłyszawszy jaki dyssonans lub wręcz fałszywą nutę, żadnym już dyssonansem usprawiedliwić się nieudającą, na mszy studenckiej przemocą prawie odsuwał Białeckiego od klawiatury i, sam siadłszy, grał za niego.

Obrażało to starego rutynistę, uważającego się za dość biegłego w swym zawodzie: to też w pewnym znajomym mi domu, gdzie dawał lekcye chłopcom na fortepianie, odezwał się o Szopenie:—

Ten mały Francuzik, co to mu się koncert słysze nie udał, myśli, że zjadł wszystkie rozumy w świecie; chciał mnie starego uczyć jak stroić, kalikować, grać na organach. Tak-to teraz jakko chce być mędrzem od kury; gdyby-ć to był z niego wistocie grajek tegi, toby mu się był koncert pewnością udał, a tak klap i rodzice musieli zapłacić za kinkiety. Dobrze tak Żywnemu, bo i to zarozumiałe zagraniczny; on ich do tego koncertu namówił.

W lat kilka później, tensam poczciwec z jakąż konsyderacyą byłby przyjmował Szopena, gdyby ten zechciał być zaszczyć swemi odwiedzinami jego chór u Wizytek!

Kiedy Szopen wyjechał nakoniec zagranicę? dobrze nie wiem. Musiało to być podczas wakacji, na które wyjeżdżałem z Warszawy, bo w przeciwnym razie byłbym pożegnanie zapamiętał. Przypominam sobie w r. 1829, kiedy już Szopen wyszedł był z lyceum, widziałem go podczas koronacji, ale gdym z wakacyj we Wrześniu powrócił, już go nie zastałem w domu, wyjechał do Wiednia i tam były pierwsze jego samodzielne już popisy. Na rok następny dopiero przypadają pierwsze koncerty Fryderyka w stolicy. Zdaje mi się, że ten rok właśnie zgromadził w Warszawie pierwsze sławy muzyczno-wokalne Europy. Zachwycano się wtedy panną Henryetą Sonntag, późniejszą hrabiną Rossi: ubóstwiano ją tak samo, a może jeszcze z większym szałem, niż niedawno Kochańska lub Mierzwińskiego. Dał się słyszeć wówczas w syrenim grodzie Paganini; oile pamiętam odwiedziła Warszawę Pasta, dla której Bellini napisał *Normę*. Obok cudzoziemców Lipiński zbierał za uczuciową grę swoją oklaski.

Przed drugim wyjazdem Szopena za granicę widywałem go często w salonie mojej wujenki Cichowskiej.

Był nadzwyczajnie miły, ułożony salonowo. Żadnych dziwactw, przywiązanych do niejedynej wielkości, śladu w nim nie było. Dowcipny, we-

soły, żywy, na chwilę nie dał o sobie zapomnieć towarzystwu.

To grał z wujenką na cztery ręce na fortepianie, to sam improwizował godzinami; a kiedy ona grała, przewracał jej nuty, urządzał krzesło do siedzenia, zcicha jej szepejąc ze śmiechem, kiedy pośród ekzekucyi, w czem chybiła.

Od fortepianu biegł do stołu, gdzie leżały albumy; tam pisał, komponował udatne wierszki, często rysował i malował bardzo ładne i zręczne drobiazgi.

W koncytowaniu deseni do astrów był mistrzem; pamiętam, długo zachowany przez ciotkę moją, desen haftu na kołnierzyk, z liści i owocu porzeczek, utwór własnie mistrza fortepianu.

Czasami brał się do karykatur; tak wyrysował całą redakcyą *Kuryera Polskiego*, którego wuj mój Cichowski był redaktorem odpowiedzialnym; przez dziurkę od klucza w zamku patrząc na redakcyjną sessyą: Mochnackiego, wówczas tak młodego, sędziwego dziś jubilata Wincen. Majewskiego mecenasa, poznaliśmy odrazu wszyscy. Wierszki w albumie wujenki mojej, sylwetki, podpisywał Szopen jeśli były francuzkie: *Votre ami Chopin*, jeśli polskie—poprostu: *Fryderyk*.

Ja, obdarzony na moje imieniny albumem, zapragnąłem także mieć pamiątkę od pana Fryderyka, który wciąż wybierał się wracać na obczyznę. Nie wiedziałem czy go już kiedy obaczę.

Wyrysował więc na moje prośby ołówkiem pudła; był i jakiś wierszyk do niego, ale go nie pamiętam, a album, czyli, jak wtedy nazywano, Sztambuch, oddawna mi gdzieś zaginął, przy przeprowadzaniu się: wszak trzy przeprowadzki, jak mówią słusznie, są równoznaczne klęsce pożaru. Ileż cennych autografów: Staszica, Niemcewicza, Brodzińskiego, Lelewela, do ojca mojego, zagubiono mi przy przeprowadzaniu się do chałup sąsiednich Wandalów chłopów!—i pewno poszły na Wielkanoc, pod placki.

To ciągle nieposzanowanie własności jest stro-

na ujemną naszego ludu. Czyż można marzyć o jakimkolwiek postępie i cywilizacji tam, gdzie uznania tej kardynalnej zasady bytu w ludzkiej, a często i w wykształcenijszych, nie znajdzie?

Szczęśliwiej od mojego albumu ocalało album w skrętniejszych niż męskie rękach, kobiety, panny P. Z., z epoki pobytu Szopena w Dreźnie.

Tam, przed niedawnym czasem, czytałem czworo wiersz, ile pamiętam, z Brodzińskiego, skreślony podobno w 1831 r.:

Grabarze stoją u grobu,
A ludzie od półkuł obu,
Z trudem, przemysłem i bronią,
Zamiast się kochać, pomagać sobie,
Przez prochy ojców się gonią.

Następował piórem i atramentem wykonany jakiś pomnik, z grenadyerem płaczącym nad grobem. W tym czasie po Warszawie rozeszła się muzykalna publikacja Szopena, dedykowana znanej w świecie hr. Czoznowskiej. Szeptano sobie, że Szopen kocha się w pięknej wdowie, u stóp której zastrzeżił się mąż, do zbytku i niepotrzebnie zazdrosny, ale szczegółów bliższych o całej tej sprawie, która zabawiła piękny świat warszawski, nie mam. To tylko pamiętam, że przez cały czas pobytu maestra w Dreźnie, trwały jego artystyczne z wujką moją stosunki; że często grywał z nią na cztery ręce jak dawniej, improwizował, a improwizacje te w zachwyt wprowadzały bawiącego tam Mickiewicza, który, aby nie z nich nie stracić, upraszał gospodynię, aby mimo zmroku nie wnoszono świec, lubił słuchać w ciemności, a podobno wśród nich i Szopen improwizował łatwiej. Przez całe życie swoje, był on człowiekiem religijnego nastroju.

Może to zawdzięczał pobożności matki swojej, która, sam pamiętam, jak go pokornego, skruszonego doprowadzała do spowiedzi, a w czasach gdzie obowiązkowych mszy studenckich u Wizytek nie było, zabierała z sobą do kościoła Karmelitów na Krakowskim Przedmieściu, gdzie przed ławką matczyną, pod jej baczem okiem klęcząc, modlił się na książce.

Szopen na chwilę nie dzielił zdania wielu nowożytnych, chociaż sławnych artystów, aby natchnienie można było znaleźć na dnie wybornej madery.

Nienawidził wszelkich trunków, przynajmniej zamłodu. Sam pamiętam, jak ojciec, pochodzący z krajów, gdzie wino za konieczność, jak wodę świeżą, uważają, sprowadzający wprost z Francji dla siebie wino i lubiący go zakosztować kiedy dobre było, ze Skarbkiem, Werbuszem, profesorem, z pochodzenia Węgrem, Lapierrrem i Marionem, Francuzami tu osiadłymi, namawiał syna, aby przez wzgląd na swoje wątłe siły pił nieco wina.

Ledwo, że wypił w moich oczach kieliszek, i ten jeszcze wlał w kufel, podany przez siostrę Izabellę, napełniony wodą, i tak dopiero zalecone od ojca wino pił bardzo wolno.

Wszystko, co potem rozgłoszono o jego zamiłowaniu do orgii i bachanalij, przyjmować należy z niewiarą. Szopen nadewszystko lubił towarzystwo kobiet pięknych, miłych, rozumnych, dowcipnych, a gust taki, mocno zabezpieczy zawsze każdego młodego od tych wybryków, których łatwo się dopuszczają ludzie źle wychowani, towarzystwa kobiet ukształconych unikający, głupcy rozszałeli, co w zbydłczeniu dopatrują się jakiejś fałszywej chwały, lub niepoehlebnego rozgłosu.

Szopen dla wzmocnienia słabych sił fizycznych, posyłany był przez rodziców do mechanika uniwersytetu, pana Migdalskiego, i tam pracował na tokarni.

Z tych czasów wyszły, wykończone wcale artystycznie, z bukszanowego drzewa szachy, które rzeczony pan Migdalski przez pamięć, iż tak sławna ręka około nich robiła, do śmierci swej przy sobie zachował.

Ostatnią rzeczą z prywatnych, które o Szopenie pamiętam, był list pisany do rodziców niedługo po wypadkach roku 1830 w Listopadzie w War-

szawie, z gorącą ochotą powrotu do kraju. Ledwo że strwożony tym szlachetnym zamiarem pan Miłkołaj potrafił synowi wyperswadować, że skuteczniej ojczyźnie się będzie mógł przysłużyć na polu sztuki, aniżeli, chwytając za karabin ręką zasłabną. Pamiętam, że ktoś opowiadał o pomocy, jaką doznał od niego kucharz zmarłego w Dreźnie s. p. generała Wojczyńskiego.

Był to Mazur z Chojnatej Woli w Rawskim, który po śmierci swego pana nie wiedział gdzie się obrócić. Szopen go namówił, aby jechał do Paryża i tam, założywszy restaurację, Francuzów zapoznał z barszczem, krupnikiem, bigosem i zrazami z kaszą, kołdunami i flakami polskimi.

Usłuchał tej rady Mazur, i przeżywszy swego dobroczyńcę, który mu na początek coś ofiarował, podobno dodziś dnia żyje, zrobiwszy spory na polskiej kuchni majątek.

Śmierć Szopena przypadła na bardzo ciężkie przesilenia czasy w Europie, tak, że dla ważności wypadków, które umysły wtedy zajmowały, przeszła prawie niepostrzeżenie, przynajmniej objawy pierwszego żalu były owiele słabsze od późniejszych.

Wszystkie te, zebrane o Szopenie, drobne wspomnienia, dowodzą tylko rzetelności jego uczuć dla rodziny przyjaciół kraju znajomych, w jego pięknej a szlachetnej duszy. Czyż to wszystko nie odbija się w jego kompozycjach?

Kompozycje te dla trwałości swego wpływu na ogół słuchaczy mają, niektóre z nich szczególnie, jedną wielką wadę, a tą jest zupełna odrębność ich charakteru, tak, że prawie tego wymagają, aby duch Szopena wciąż przy ich wykonaniu siedział u fortepianu. Dlatego cenimy tylko wykonywanie przez ulubione uczennice mistrza, przez osoby, które umiały się duchem jego przejąć, albo chociażby te, co samego Szopena grę zasłyszaly.

Źle wykonane, utwory Sz. wpadają w burleski, kosmopolityzmowi całkiem niezrozumiałe. Mogą zatem Offenbachy i chaotyczne utwory muzyki przyszłości Wagnera całkiem zagłuszyć, conajmniej przyćmić sławę Szopena: Dlaczego-by nie?

My uchodzimy w nocne cienie;
Starych pracą młódz pomiatam...
Lecz i dawniej tak bywało:
Młodość zawsze panią świata.

KRÓLEWIEC I GRUNWALD

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

Felixa S****

(Dalszy ciąg)

Korneliusz Agrippinus rozwinął drżącą ręką zwitek pergaminowy, który przyniósł był z sobą i przeczytał:

„Po upływie lat, których liczba samemu tylko Bogu wiadoma, nastanie dzień zguby Zakonu. I mistrz, i komtur i rycerz i gość padną w boju, jak kłosa pod sierpem żniwiarza. Trupy walecznych uścielą pobojuwisko; sztandary wiekową sławą okryte dostaną się w moc zuchwałego wroga; pieśni żałobne zabrzmią po wszystkich krajach zakonnych. Wy trzej wyjdziecie z bitwy wolni, cali i nietknięci; ale żaden z was nie ujrzy świtu następnej doby“.

* * *

Komtur Andrzej wyszedł pierwszy, i kiedy brzęk jego ostróg uciął w kuryrtarzu, kiedy ten-

tent konia w dziedzińcu oznajmił o jego odejściu, dwaj pozostali poszli za jego przykładem.

Rycerze dosiedli koni i pucili się cwałem po krętych ulicach Gdańska, jakgdyby szatanami pędzili w pogoń za nimi.

Ci trzej komturzy, słynni w dziejach Zakonu, nazywali się: Henryk von Schwelborn, Markward von Salzbach i Andrzej von Sonnenberg, który na półtora roku przedtem był tak zwanym kompanem czyli urzędowym nadzorcą czynności księcia Witolda, podówczas jeszcze sprzymierzeńca Zakonu.

Ujrzawszy się za miastem, ochłonęli z przykrego wrażenia, które w nich bytność u astrologa Korneliusza obudziła, i Schwelborn rzekł do swojego towarzysza podróży:

— I dokąd on pojechał?

— Kto taki?

— Sonnenberg.

— Nacóż ci on potrzebny?

— Chciałem go zapytać o znaczenie tej przepowiedni, — odpowiedział Schwelborn, — bo on sam tylko między nami uczony, niemniej uczony niż ten czarnoksiężnik. Czytuje różne księgi łacińskie, pisuje często, zna się nawet na gwiazdach. On-by nam wszystko wytłómaczył...

— A ja-by ci radził unikać jego spotkania, — odpowiedział Salzbach.

— Dlaczego?

— Po tem, co zaszło kilkanaście miesięcy temu, dziwi mnie twoje pytanie. Dziś, kiedyśmy go spotkali na drodze w Gdańska, zdawało mi się, że ujrzał dyabła w jego własnej postaci. Powiadają, że on pije, że popijanemu mówi o rzeczach, których nikt nie rozumie... ale my dobrze je rozumiemy... Cóżby to było, gdyby się wszystko doniosło do takiego fanatyka i nieubłaganego despoty, jakim jest dzisiejszy nasz wielki mistrz?! Sonnenberg nienawidzi nas z głębi duszy, a jego nienawiść, przy wrodzonym rozumie, śmiałości i mściwej energii nie dobrego nie wróży... Królewic! Królewic! Przeklęta niech będzie godzina, która nas tam zaprowadziła! Wyobrażam sobie, jakim bywa Sonnenberg popijanemu... Mam jakgdyby widzenie, że prędzej lub później jego sztylet utkwii po samą rękęję w mej pierści...

— Tak źle o nim nie trzymam, — odrzekł Schwelborn. — Przypomnij sobie zresztą, że podówczas w Królewcu wyświadczył mi wielką usługę, kiedy chciano złożyć sąd nad nim.

— Mój bracie! — rzecze posępny tonem Salzbach. — Wspomnienie usług przyjacielskich przędko się zaciera, ale pamięć złych czynów trwa do końca życia... I z drugiej znow strony grozi nam niebezpieczeństwo. Wielki mistrz i ten drugi fanatyk, a nasz bezpośredni przełożony, wielki komtur, Konrad Lichtenstein, mają zamiar poruszyć nanowo sprawę... królewicką, aby wykryć i przykładnie ukarać winowajców... dla oczyszczenia Zakonu.

— Przekleństwo i potępienie! — zawołał gwałtownie Henryk Schwelborn. — I jakież szatan podał tobie myśl domagania się od Sonnenberga... owego strasznego dowodu wierności?... Jaki zły duch skłonił i mnie samego do popierania twej myśli?

— Stało się! — odrzekł głucho Salzbach, — lecz w naszej jest mocy pozacierać resztę śladów tej sprawy, raz już osądzonej.

Dwaj komturzy jechali czas pewien w milczeniu, które znow przerwał Schwelborn.

— Podług przepowiedni, którą ten stary astrolog, nie wiem czy z woli nieba, czy za sprawą dyabła otrzymał... — tu komtur przeżegnał się — jakaś wielka klęska ma spotkać Zakon jeszcze za naszego życia, albowiem i my w tej bitwie będziemy. Zatrzymaj to sobie naprzód w pamięci; a tymczasem powiedz mi: czy przepowiednie astrologów zawsze się sprawdzają?

— Brat Werner Tettingen, — odpowiedział Salzbach, — mówił wyraźnie, że nie słyszał o żadnej, któraby skłamała...

— Jeżeli tak, to przepowiednia znacznie mnie uspakaja, — zauważył Schwelborn.

— Jako? — zapytał Salzbach, — A kłeska Zakonu?...

— Mój bracie! — odparł Schwelborn. — Zakon składa się z komturów i rycerzy, ludzi możnych, ze starożytnych rodów, i nie istniałby wcale, gdyby oni doń nie przystąpili. Hrabowski dom Schwelbornów był już potężnym, kiedy się na Zakon nawet nie zanośli, podobnie i ród Salzbachów i tyle innych. Każdy więc z nas to widzi, że istotną potęgę Zakonu stanowią jego członkowie, i jako tacy powinni być szanowani. Kiedy zaś tym członkom grozi niebezpieczeństwo ze strony wielkiego mistrza i kapituły, to każdy z nich ma prawo stawić na pierwszym miejscu swoje osobiste dobro przed dobrem Zakonu, który jest tylko czemś sztucznym, nie zaś rzeczywistością. Czy rozumiesz mnie, bracie Markwardzie?

— Rozumiem. Chcesz zapewne powiedzieć, że Zakon, który się zawiązał dwieście lat temu, może się prędzej lub później rozwiązać, gdy tymczasem szlachetne i wysokie domy, z których jego członkowie pochodzą, winny trwać wiecznie.

— Tak jest, Markwardzie, to właśnie chciałem powiedzieć. A teraz zastanów się nad tem: coby nas dwóch i Sonnenberga czekało, gdyby tamta nieszczęsna sprawa ukazała się w swoim prawdziwym świetle?

— Łatwo przewidzieć jej następstwa, Henryku; ale mów ciszej: bo choć jedziemy polem, to po nocy nie można być pewnym: czy wiatr do czyich bądź uszu twoich słów nie zanieś.

— Nikt nas nie słucha, — odrzekł Schwelborn, — lecz wracam do rzeczy. Gwiazdy powiedziały astrologowi, że w owej bitwie, z której my trzej wyjść mamy szczęśliwie, wielki mistrz padnie trupem. Oczywiście więc, ze strony owej sprawy nic nam nie grozi. Przepowiednia mówi jeszcze o zgubie Zakonu. Smutna to rzecz zapewne: lecz jeszcze smutniejsza byłaby, gdyby... gdyby nas samych, z powodu mnisich przesądów mistrza i kapituły jakie nieszczęście spotkało. Pod tym to względem przepowiednia wielce mnie uspokoiła.

— Mówiąc szczerze, — odpowiedział Salzbach, — i ja także zaczynam myśleć tożsamo. Ale co znaczy koniec tej wieszczby? Dlaczego, wyszedłszy z bitwy pomyślnie, nie mielibyśmy ujrzeć „świtu następnej doby?“ Tu jest prawdziwa zagadka.

— Łatwo ją wytłómaczyć, — rzekł Schwelborn. Cofając się z bitwy na czele naszych knechtów, zapewne późno już w nocy zatrzymamy się na spoczynek w miejscu bezpiecznym. Cóż więc dziwnego, że wodzowie, utrudzeni bojem i snem zmóżeni, nie będą widzieli pierwszego świtu po bitwie?

III.

Jan von Rumpenheim, komtur Brandeburga wyprawiał wielką ucztę w swojej kommandoryi, na cześć gości zagranicznych, którzy w d. 4 Grudnia 1398 r., jako w uroczystość św. Barbary, patronki Brandeburga, wysłuchali tam pobożnie Mszy świętej i niesporów. W wielkiej sali jadalnej, która przynajmniej 400 biesiadników swobodnie pomieścić mogła, zgromadziło się mnóstwo hrabiów, baronów i rycerzy świeckich, przybyłych z różnych stron, razem ze swemi małżonkami, córkami i dalszymi krewnymi. Towarzystwo było świetne. Wszyscy ci dostojni i potężni goście, przedstawiciele najpierwszych domów niemieckich, mieli pomiędzy komturami i rycerzami Zakonu bliższych i dalszych krewnych, których stary, przełożony znamienitej kommandoryi, Jan Rumpenheim, sprosił również do siebie.

Wprawdzie wielki mistrz Konrad von Jungingen, jako surowy przestrzegacz reguły zakonnej, nie był wcale za takimi ucztami, i nawet zamłodu, będąc tylko rycerzem, nie brał w nich nigdy udziału, mimo to wszelako musiał patrzeć na nie przez szpary, jako uświęcone starodawnym zwyczajem. Aby zaś to zbliżenie się towarzystwa świeckiego, a zwłaszcza damskiego, z rycerstwem zakonnem odbyło się w sposób nie narażający na

żadne niebezpieczeństwo reguły Zakonu, wielki mistrz wydelegował na tę uroczystość swojego wielkiego przyjaciela, komtura Albrechta hrabiego von Vende, albowiem ten dygnitarz kapituły znany mu był dobrze jako człowiek pobożny, surowych zasad i rzadkiej prawości. Hrabia Vende słynął z cnót swoich nie tylko w krajach zakonnych. Imię jego znane było i na królewskim dworze Jagielly; szczególnie zaś, we dwanaście lat później, w stanowczej chwili stosunków Polski i Litwy z Zakonem Teutońskim, zjednało sobie uznanie i szacunek nawet u nieprzyjaciół.

Takim był człowiek wyprawiony przez wielkiego mistrza na uroczystość św. Barbary do Brandeburga. — Uczta zbliżała się do końca i ożywiona rozmowa toczyła się między gośćmi i rycerzami teutońskimi. Zakon miał pomagać W. Ks. Witoldowi, który w 1397 r., zwyciężywszy Tatarów na „Dzikich Polach“ za Donem, przedsiębrał nową wyprawę przeciw chanowi Edydze. Komtur Markward von Salzbach miał sobie poręczony zaciąg ochotników, w charakterze przyszłego ich wodza. I w rzeczy samej stanęli oni pod jego znakiem, lecz tylko w liczbie 100 kopij, albowiem Krzyżacy woleli zawsze wycieczki na chrześcijańską Litwę, niż dalekie przeciw poganom wyprawy. Cokolwiek bądź, mówiono na owej uczcie brandeburskiej, przedewszystkiem o zamierzonej przez Witolda wojnie.

I oto, jedna z dam, hrabina Elwira von Greifenklau, niezaprzeczenie najpiękniejsza ze wszystkich kobiet, które w owym dniu siedziały u stołu Rumpenheima, odezwała się do sędziwego gospodarza:

— Tym razem, wielebny panie, nie masz ani jednego serca w Niemczech, któreby nie zanoślił gorących modłów do nieba o szczęście i najświetniejsze powodzenie waszego oręża.

— Sądziłbym, dostojna hrabino — odrzekł stary komtur — że nie tylko ta, lecz i wszystkie wyprawy naszego Zakonu w których tyłu przedświeśnych gości zagranicznych brało chwalebny udział, niemniej zasługiwały na to, iżby się za ich powodzenie nasi ziomkowie modlili. Pobożność była zawsze cnotą Niemców. Nasze zwycięstwa na Litwie nawróciły ten kraj na wiarę świętą. Wielki książę Witold, nasz przyjaciel i sprzymierzeniec, dziś tak wysoko, od naszego wielkiego mistrza ceniony, przyjął chrzest święty na łonie naszego zakonu i rycerz teutoński Wigand von Baldersheim był jego ojcem chrzestnym. A cóż teraz rzec o Żmujdzi? Gdybyśmy jej nie podbili mocą naszego oręża, ten kraj pozostałby nazawsze w błędach pogaństwa. Dzisiaj zaś, z łaski Najwyższego Pana i dzięki naszemu świętemu duchowi z jednej, a walczącemu rycerstwu z drugiej strony, prawdziwa wiara krzewi się tam i wzmaga coraz bardziej.

— Darujcie, wielebny kommandorze! — odpowiedziała hrabina z pewnym wahaniem się: — Słyszałam, że w tamtej nieszczęsnej krainie, miecz rycerza obala czasami świętą budowę przez kapłana wzniesioną... Wistocie nawet rozum damennie się wysiła, iżby pojąć przymierze oręża świeckiego ze słowem miłosierdzia i pokoju, które nasz Bóg i Zbawiciel wygłosił światu.

Komtur ujrzał się nagle w położeniu mówcy, który zamiast spodziewanych okłasków słyszy zwyczajną i logiczną krytykę swej mowy. I nie dziw też, że zagadnięty w ten sposób, nie mógł się zdobyć na żadną odpowiedź; lecz hrabia Ulryk Greifenklau, mąż Elwiry, przybył mu na pomoc.

— Nie dziwcie się, szlachetny kommandorze, że moja małżonka, jak zwykle damy, unosi się czułością serca. Przypomina sobie zresztą te ciężkie niepokoje, które ją trapiły w 1391 r., kiedym, razem z wielu innymi gośćmi zagranicznymi, ową wielką wyprawę, pod wodzą s. p. mistrza Wallenroda odbywał. Nasz Ren tak daleko od Litwy i wiele miesięcy upłynęło, zanim odebrała pierwszą o mnie wiadomość, od wracających z wyprawy pielgrzymów. Mówiąc zaś o tem, nadmienię, że mi podówczas wielce było przykro, że przez tychże pielgrzymów nie przesłał jej listu, bom żadnego uczonego pisarza nie miał pod ręką. Nie raz też później zastanawiałem się nad tą niedogodnością i ostatecznie przyszedłem do przekonania,

że nie zawadziłoby wcale, gdyby do edukacji rycerskiej wchodziła także umiejętność czytania i pisania, którą teraz samo tylko duchowieństwo w tak wysokim stopniu posiada. Ale to kwestya poboczna, wielebny kommandorze; — moja żona mówi o Żmujdzi pod wrażeniem wspomnień z owego czasu, i powtarza, naturalnie, to tylko, co słyszała od rycerzy nadreńskich, którzy z naszej wyprawy wracali: ci zaś wogólności nie byli zdolni sądzić o trudnościach położenia, w jakich się Zakon znajduje.

— Tak jest, dostojny gościu! — odrzekł Rumpenheim; — trzeba być wtajemniczonym w rzędy naszego zakonu, aby te trudności właściwie ocenić.

Między komturami, licznie zgromadzonymi, znajdował się i Sonnenberg, który dotąd siedział w milczeniu; lecz usłyszawszy ostateczną odpowiedź Rumpenheima, zapytał ironicznie: jakie to były trudności?

— Nasz zakon — odparł starzec sentymentalnie — obsadzony jest dokoła nieprzyjaciółmi: i ztąd wszystko złe pochodzi. Żmujdzini garną się nawet chętnie pod nasze ojcowskie rządy; ale i cóż, kiedy ich mocarstwa chrześcijańskie, jak Polska i Litwa, przeciw nam podburzają?

— Uchylam czoła przed waszym trafnym poglądem, wielebny bracie! — rzekł Sonnenberg. — Nasze ojcowskie rządy są takie, że gdybyśmy nawet byli obsadzeni dokoła samymi przyjaciółmi, to i tak jeszcze bez pomocy oręża żaden książę nie ośmieliłby się na Żmujdzi.

— Takie są zwykle początki panowania nad krajami pogańskimi — zauważył hrabia Greifenklau. — Poddani nie mogą zrozumieć, że wszelkie prawo na mieczu się opiera.

— Prześwietny hrabio! — odrzekł Sonnenberg: — Mogę was zapewnić, że mówicie zupełnie tak, jak gdybyście byli członkiem przewielebnego zakonu. Nic bardziej do nas nie przystaje, jak wasza maxyma.

— Mądra uwaga! — zawołał Rumpenheim nie czując wcale gorzkiego szyderstwa w tej odpowiedzi Sonnenberga. — Panowie! wypijmy za zdrowie hrabiego Ulryka von Greifenklau i jego dostojnej małżonki!

— Wielebny bracie! — odezwał się komtur Schwelborn: — Toasty spełniają się przy dźwiękach muzyki. Masz tu przecie kilku minstrelów: rozkaż im wystąpić i zagrać. Niech toast zabrzmi rozgłośnie! Minstrele stanęli z arfami pośrodku sali, wszyscy Krzyżacy i ich goście powstali i wychylili puhary.

— I jakże wam, dostojni i szlachetni panowie wywdzięczę się za wasze wysokie względy? Rozkażcież mi podać, wielebny kommandorze, największy puhar, jaki tylko macie. Życzę sobie mieć honor spełnienia go za zdrowie wasze i waszych gości! — Wkrótce jeden z giermków podał hrabiemu ogromny kielich i ten, wypijwszy go duszkiem, rzekł:

— Ten puhar, co do miary, nie ustępuje prawie tamtemu, który, raz w czasie wyprawy litewskiej, krążył przy stole wielkiego księcia Witolda. Nieprawdaż, wielebny panie Salzbach?

— W rzeczy samej, panie hrabio! — odrzekł Salzbach dosyć lakonicznie i sucho.

Tymczasem Henryk Schwelborn zwrócił się do Rumpenheima, mówiąc doń półgłosem:

— Pomyśl przecież, bracie Janie, o tem, aby czemkolwiek zabawić damy. Pocóż, pytam się ciebie, sprowadziłeś minstrelów? Każ im zaśpiewać jaką balladę. Ta hrabina Elwira godną jest tego, iżby jej piękność po całych Niemczech sławiono. Gdybym był świeckim rycerzem, skruszyłbym niejedną włócznią na cześć jej wdzięków. Lecz cóż to za chłopczyzna siedzi przy niej na krześle?

— To syn hrabiego i jej.

— Piękny chłopiec, podobny do matki.

Te ostatnie słowa doleciały do uszu hrabiego Greifenklau, który rzekł do żony:

— Elwiro! podziękuj kommandorowi Schwelborn, który raczył zwrócić uwagę na naszego Henryka.

Matka, rozpromieniona, szukała odpowiednich

słów, aby wyrazić swą wdzięczność komturowi, kiedy ten, zbliżywszy się do niej, rzekł:

— Zaprawdę, dostojna hrabino, nigdy nie zdarzyło mi się widzieć piękniejszego chłopczyny.

— Dziękuję wam najżywiej, szlachetny panie, za wasze łaskawe słowo. Pragnęłabym tylko, iżby z czasem ludzie nieczciwi powiedzieli tożsamo o jego sercu, co wyłteraz panie, mówicie o powierzchności.

— Ale—przerwał jej mąż—czy nie znajdujecie w nim jakiego podobieństwa, wielebny kommandorze?

— Podobny jest do swojej dostojnej matki.

— Być może—rzecze hrabia, ale ja mówię o innym jeszcze podobieństwie.

— O jakim?—zapytał Schwelborn.

— Przed ośmiu laty, w Królewcu, u marszałka Zakonu, Engelharda von Rube, widziałem dwóch chłopczyków* oddanych mu pod opiekę. Otóż mój syn, jeżeli się nie mylę, przypomina jednego z nich, z tą jednak różnicą, że tamten był piękniejszym.

Rumpenheim wdał się w rozmowę i rzekł:

— Domyślam się, panie hrabio, że mówicie zapewne o synach księcia Witolda? Wątpię jednakże, czy znał ich Schwelborn. Trzeba raczej zapytać o to brata Andrzeja Sonnenberg; niegdyś piastował on urząd kompana księcia.

Z temi słowy stary komtur rzucił okiem na siedzącego o kilka kroków Sonnenberga, chcąc go zapytać o to podobieństwo; lecz zapytanie zamarło mu na ustach. Brat Andrzej wyglądał tak blade, jak człowiek w chwili skonań. Rumpenheim widział go parę razy pijanym, lecz w takim stanie krwawość mu do głowy; inna więc teraz być musiała przyczyna jego błałości. Rumpenheim wiedział także, że brat Andrzej od lat już wielu miewał dziwaczne fantazje i napady drażliwości, nakoniec, że, w takim znajdując się usposobieniu, nie znoślił zapytań. W każdym razie nie była to pora właściwa do rozmowy z człowiekiem, widocznie cierpiącym. Szanując przeto prawa gościnności, sędziwy komtur rzekł półgłosem do hrabiego:

— Sonnenberg zdaje się być mocno cierpiącym. Zapewnie dokuczają mu jakaś dawna rana; bo w bitwach nigdy się nie oszczędzał.

— W rzeczy samej—odrzekł hrabia—widziałem go i ja w boju. Ale jakaż uderzająca zmiana zaszła w jego humorze! Ze wszystkich rycerzy, jakich tylko znałem, ośm lat temu, kommandor Sonnenberg był najdowiecipniejszym. Spółbiesiadnik jedyny, chętny do rozmowy! Książę Witold nie mógł się obejść bez niego. A dziś, co za różnica! Zaledwie parę słów przemówił.

Uczta zakończyła się śpiewami minstreli, którzy, stojąc przed zgromadzeniem, w znacznej części z członków Zakonu złożoną, unikali pieśni świątowych i miłosnych, lecz za to szeroko sławili pobożność i cnoty dam, oraz waleczność rycerzy. I nic dziwnego, bo i cóż tacy ludzie jak komtur Vende lub Rumpenheim, przewodniczący uczcie, mogli mieć spólnego ze światem i miłością? Pierwszy z nich, aczkolwiek mąż w sile wieku, sływał z surowości zakonnej, drugi był fanatykiem—starcem chylącym się do grobu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZJAZD PEDAGOGICZNY W KOŁOMYI.

Dokończenie).

III.

Drugi dzień obrad rozpoczął się przemówieniem p. Czesława Pieniżka, profesora ze Stryja, który w wymownych słowach zapraszał zgromadzenie imieniem rady municypalnej swego miasta na zjazd w roku następnym; nadmienając, że tam właśnie Towarzystwo Pedagogiczne będzie miało

sposobność uczcić pamięć bohatera, Jana Sobieskiego, jako w dwusetną rocznicę jego zwycięstwa pod Wiedniem. Wiadomo bowiem, że miasto Stryj było nadane przez Rzeczpospolitą Sobieskiemu w nagrodę jego zasług w walce przeciw Turkom. Zgromadzenie z zadowoleniem zjazd następnym na 1883 r. w Stryju uchwaliło.

Na porządku dziennym było kilka spraw szerszego znaczenia: stosunki pedagogiczne w Czechach, nadzór nad chajderami, egzamina wstępne do szkół średnich i inne. Dr Józef Żuliński szeroko objaśnił stosunki pedagogiczne czeskie. Wychodząc z zasady konieczności wzajemnego porozumiewania się, wykazał znaczenie tak rozpowszechnionych obecnie zjazdów i stowarzyszeń ludzi pod jednym sztandarem pracujących: a cóż dopiero gdy oprócz tej idei głównej występują względy pokrewieństwa plemiennego; jesteśmy bowiem z nauczycielami czeskimi, nietylko myślą, ale i krwią złączeni. Wobec rozbudzonej w ostatnich czasach po Europie idei narodowości nie możemy niepragnąć zbliżenia się z tak serdecznymi dla nas pobratymcami z Czechami; i to tem więcej my, nauczyciele, skoro Czechy są krajem klasycznym pod względem wychowawczym.

Myt o szkole, istniejącej już za czasów Libuszy i Przemysława, pięknie świadczy o znaczeniu, jakie naród czeski szkole nadaje. Do szczytu rozwoju szkolnego doszły Czechy w XVI w., kiedy nie było miasteczka, któreby nie miało szkoły, a w niej od trzech do pięciu nauczycieli; nauczyciele byli to ludzie z wyższym wykształceniem, ze stopniami naukowymi, a niejeden z nich do wielkiej później doszedł godności. Nawet kobiety odznaczały się na polu naukowym. Język doszedł do niezwykłej kultury i rozpowszechnienia. Po walce pod Białą-Górą naród upadł; nie runęły wszakże odrazu stosunki szkolne; z łona nauczycieli wychodzili dzielni pracownicy, jak sławny Komeński, którego różne państwa do organizacji szkół wzywały i który uważa się za reformatora szkół i wychowania w połowie XVII wieku. Że w naszych czasach Czesi tak wysoko się dźwignęli, zasługa to nauczycielstwa ludowego. Gdy w r. 1866 język czeski został równo-uprawniony z niemieckim, obudził się ruch niezwykle pomiędzy nauczycielami, powstało do 80 „jednot“ to jest lokalnych towarzystw nauczycielskich, liczących razem około 4.000 członków. Nie łatwo było urządzić ogólny zjazd nauczycieli, któremu stała na przeszkodzie różne okoliczności. W niedoszłym programmie pierwszego zjazdu znajdujemy między innymi punkta, nad którymi miano obradować: reforma szkoły, wykształcenie nauczyciela, stanowisko jego w życiu szkolnym i obywatelskim. Już z tego wnosić możemy, jak poważnie pojmują nauczyciele czescy swoje zadanie.

Pierwszy zjazd odbył się w 1870 r., przy współudziale 2.000 nauczycieli, z wielką świetnością; niemniej był świetny zjazd następny, w czasie którego odsłonięto pomnik Komeńskiego. Wobec przeszkód rządowych zjazdy następne nie mogły dochodzić do skutku; dopiero od założenia Centralnego związku towarzystw nauczycielskich (Ustředni spolek jednot ucitelskych), działalność nauczycielstwa czeskiego przeszkód nie doznaje. Ciekawe są i zasługujące na uwagę niektóre uchwały nauczycieli czeskich; przytoczymy je tutaj w krótkich wyrazach: 1) Szkoła ludowa powinna starać się przedewszystkiem o umysłowy rozwój dziecka; naukę rzemiosł traktować ma dodatkowo; wykształcenie fachowe może się rozwijać o tyle tylko, o ile nie przeszkadza właściwemu zadaniu szkoły. 2) Szkoła wydziałowa również nie powinna przekształcać się w fachową, bacząc na główne swoje zadanie; powinna uwzględniać stosunki miejscowe, uczniowie mają zwiedzać fabryki, gromadzić zbiory i t. d. 3) Starać się trzeba o rozwinięcie i rozpowszechnienie wykształcenia przemysłowego, fachowego dla podniesienia dobrobytu; ale ono opierać się musi na poprzednim wykształceniu w szkole ludowej. 4) Dziecko przed 12 rokiem życia nie powinno wchodzić do warstata. 5) Szkoły powtarzania (niedzielne) nie wydają należytych owoców. 6) Szkoła ma tego przedewszystkiem uczyć, co będzie potrzebne w życiu społecznym; język niemiecki więc nie obowiązuje szkoły ludowej.

Pomijamy wiele innych szczegółów wobec tego, że w prassie naszej powtarzają się od czasu do czasu dobre artykuły o stosunkach szkolnych w Czechach i że spodziewamy się wyczerpującego studium pod wyrazem „Czechy“, który teraz właśnie w *Encyklopedyi pedagogicznej* następuje. Ograniczymy się na krótkiej wzmiance o literaturze pedagogicznej w Czechach, która niezwykle się rozrosła, dzięki rozpowszechnionemu poczuciu obowiązku obywatelskiego do jej popierania. Czasopism pedagogicznych mają Czesi 9; każde z tych czasopism ma najmniej 1000 prenumeratów. Morawa posiada dwa swoje czasopisma pedagogiczne. Wychodzi w Czechach bibliograficzny wykaz prac pedagogicznych, oraz krytyczne ich przeglądy w rodzaju naszego *Rocznika pedagogicznego*; zamysłają także Czesi o *Encyklopedyi pedagogicznej*. Mają oni wielkie zadanie w utrzymaniu się przeciw rozwiniętemu stosunkom szkolnym niemieckim; dlatego też są za ośmioletnim kursem nauki szkolnej. Gdy Niemcy założyli tam Schul-Verein, Czesi utworzyli zaraz Macierz szkolną (Maticę skolską) i w ciągu dziesięciu miesięcy (trudne do uwierzenia) zebrali na nią 77.000 zlr.; w następnym roku mieli już 130.000 zlr. Gdzie Niemcy założyli swoją szkołę, tam Czesi zaraz zakładają swoją; co przy wielkich funduszach Macierzy daje się skutecznie; z raz w pierwszym roku założyli 4 szkoły 5-cio klasowe i 4 ochronki. Zakończył p. Żuliński następującą rezolucją: „Walny zjazd, uznając ważność bliższego poznania się i porozumienia w sprawach szkolnych i pedagogicznych z nauczycielstwem bratniego narodu czeskiego, poleca rządowi głównemu, ażeby wziął pod dokładną rozprawę, jakie byłyby najodpowiedniejsze i najskuteczniejsze środki tegoż zbliżenia się i porozumienia, i w tym celu aby wszedł w bezpośrednie stosunki z Centralnym Związkiem Stowarzyszeń Nauczycielskich w Czechach.“—Zgromadzenie rezolucją powyższą jednogłośnie przyjęło, upraszając p. Żulińskiego, aby referat swój wydrukował w *Szkole*, na co autor chętnie się zgodził, obiecując pracę swą uzupełnić, — rozszerzyć.

Tego samego dnia zapadła druga podobnego charakteru uchwała, zmierzająca do rozpostarcia towarzystwa na Szląsk Austriacki; myśl tę podejmowało Zgromadzenie już dawniej, minister odmawiał. Obecnie, na wniosek wice-prezesa towarzystwa, Dra Teofila Gerstmana, który jeździł umyślnie na Szląsk i zbadał stan i dążenie nauczycielstwa miejscowego, zgromadzenie uchwaliło dodatek do odnośnego paragrafu regulaminu, że zakres działania Towarzystwa Pedagogicznego rozciąga się na Szląsk Austriacki. Na mocy takiej uchwały, po dopełnieniu formalności, Towarzystwo będzie mogło zaprosić Szlązaków do swego grona. Wniosek jednogłośnie przyjęto.

Nie będziemy się zastanawiać nad wnioskami różnych oddziałów; niektóre z nich znalazły już pomieszczenie w memoryale do sejmu (naprzykład zmniejszenie lat służby, kwinkwenia to jest pięcioletnie podwyżki pensji młodych nauczycieli) niektóre zaś nie mają ogólniejszego interesu; takiej też natury był obszerny wywód p. Jana Dobrzańskiego, o podniesieniu niektórych szkół do wyższej kategorii pod względem płacy nauczycielskiej na podstawie nowego spisu ludności z roku 1880, w której-to sprawie uchwalono petycję do sejmu. Ogólniejszego był znaczenia referat p. Józefa Kerekjarto, inspektora szkół zamiejscowych we Lwowie, jako sprawozdanie zarządu głównego o wniosku p. Goldberga, wniesionym na poprzednim walnym zjeździe w Krakowie, w sprawie nadzoru nad chajderami. Referent wykazał, że chajdery niższe i wyższe obchodzą podawnemu wszelkie rozporządzenia władzy szkolnej i usunąć się zawsze potrafią spod nadzoru; wykazał, że są one podawnemu torturą dzieci, tak pod względem sanitarnym jak i umysłowym: przedpotopowe sposoby, stosowane w chajderach przez „kinderbalmutów“, ogłupiają dzieci, szczepiają fanatyzm i nienawiść do wszystkiego, co nie jest żydowskie. Zniesienie chajderów stanowi sprawę nagłą, nietylko w Galicyi: wszędzie prawie są one do siebie podobne. Przedstawiła dobrze opłakaną ich metodę pamięciową Orzeszkowa w znanej powieści tendencyjnej żydowskiej pod tyt. *Meir Ezofowicz*, nie uchwyciła wszakże zewnętrznej strony

tych szkół pokątnych, mieszczących się w izbach, suterrenach ciemnych i wilgotnych, w których nikt już mieszkać nie chce, gdzie nad dziećmi, lekko albo w połowie tylko odzianymi, siedzącymi po większej części na ziemi, przewodzą belferzy i melamedzi, rekrutujący się z ludzi niezdolnych do handlu i przemysłu. Szkoła, mieszkanie meła meda i jego licznej rodziny, kuchnia i wszelkie jej przybory i funkcyje, a nierazko jeszcze warstat jaki, mieszczą się w jednej izdebce. Ze to nie jest przesada, poświadczają niejedni z tych, co brali udział w spisie jednodniowym w r. b. w Warszawie. Kiedy żydzi byli upośledzeni, kiedy musieli wywalczać sobie wszystko, odrębne dla nich szkoły miały racją bytu; dziś jednak, gdy doznają opieki prawa na równi ze wszystkimi, słuszną aby na równi też ze wszystkimi stawali do walki życia i do spełniania jego obowiązków: zasklepienie się, wyłączenie, fanatyzowanie osłabia siły kraju, tamuje postęp. Tak mniejwięcej rzecz przedstawiający, referent proponuje wyjednanie na właściwej drodze radykalnej reformy chajderów. Chajdery niższe, przyjmujące dzieci do lat 6-ciu, przekształcić na wzór ogródków freblowskich, wyższe zaś, w których oprócz talmudu innych jeszcze nauk udzielają, znieść zupełnie, strzegąc ścisłego wykonywania istniejącego przymusu szkolnego, aby wszystkie dzieci, bez żadnych wyłączeń, pobierały wspólną naukę w zakładach publicznych; przy szkołach powinni być nauczyciele religii wyznaczeni i płatni przez gminy izraelskie. Rzecz bardzo naturalna, że sprawa ta wywołała obszerną dyskusję, odnoszącą się głównie do trudności, jakie przeprowadzenie powyższych projektów napotkać może w praktyce. Na zaznaczenie zasługuje głos pana Eichenkatza, nauczyciela izraelity, który przyznał słusność wnioskowi pana Kerekjarto, widział jednak trudność w przyciągnięciu młodzieży izraelskiej do szkoły katolickiej; tym celem radził, aby przy każdej większej szkole był jeden izraelita, a on mając zaufanie współwyznawców, pociągnie do szkoły młodzież żydowską. Dr Pechnik, powodowany względami religijnymi, nie pragnie widzieć młodzieży izraelskiej w szkole katolickiej, obawia się bowiem widma bezwyznaniowości w szkole i wymownymi słowami założeń swoje popiera. Przeciw temu powstaje bardzo energicznie p. Zimmermann, professor ze Lwowa, dziwiąc się, jak podobne zdania wygłaszać może w naszym wieku człowiek wykształcony, jak może rzucić zapory na jedynej ścieżce, po której żydzi mogą dążyć do cywilizacji, do poczucia solidarności obywatelskiej! Dopóki chajdery istnieć będą, dopóty o oświacie i cywilizacji żydów nie może być mowy, dopóty żydzi będą odrębnym, jeżeli nie wrogim, pierwiastkiem w narodzie. Wyznaniowość szkoły nic na tem nie cierpi, że żydzi do niej chodzą, a sprawa narodowa zyska. Rezolucye p. Kerekjarto zgromadzenie przyjęło. Jesteśmy zwolennikami postępu, pragniemy, aby jaknajprędzej wychowanie żydów z sekciarskiego przemieniło się na obywatelskie; nie ludzimy się jednak nadzieją, aby sprawa chajderów w krótkim czasie pomyślnie załatwić się dała. Jeżeli rząd zamknie dziś chajdery, jutro będzie ich jeszcze więcej; w każdym domu prywatnym powstanie nowy chajder.

Trzecią ogólniejszą sprawą tego posiedzenia była rzecz o egzaminach wstępnych do gimnazjów, w której również energicznie jak przeszłego roku na zjeździe krakowskim przemawiał pan Starzecki, nauczyciel ze Lwowa. Domagał on się petycji o zmianę ustawy szkolnej, aby egzamina wstępne do szkół średnich zniesiono, a natomiast takich tylko uczniów tam przyjmowano, którzy ukończyli szkołę ludową lub mają świadectwo odbytego tamże egzaminu. Argumenta p. Starzeckiego były dość przekonujące: wymownie dowodził on, jak niekorzystnie taki egzamin wpływa na moralną stronę ucznia egzaminowanego już i opatrzonego świadectwem szkoły ludowej, jak podkopuje powagę szkoły i nauczyciela. Dowodził przytem, że na mocy szczęśliwych egzaminów dostaje się do gimnazjów młodzież z prywatnej edukacji, pamięciowo tylko *ad hoc*, „welocypedowym sposobem“ przygotowana. Rzecz ta, tak gorąco przez p. Starzeckiego popierana, nie da się prędko załatwić; łączy się ona z nierozstrzygnięciem jeszcze

pytaniem: czy szkoła ludowa ma być zakładem samoistnym, czy też przygotowawczym do gimnazjum; łączy się z zamierzoną reformą gimnazjów. Wobec tego zarząd potrzebuje jeszcze zasięgnąć opinii wszystkich dyrekcji szkół średnich i rad szkolnych, a w roku przyszłym sprawę walenemu zgromadzeniu przedstawi.

W zakończeniu posiedzenia zgromadzenie jednogłośnie uchwaliło wniosek profesora Dra Lewickiego, sekretarza Towarzystwa, aby wszyscy nauczyciele tak pojedynczo jako też i zbiorowo (w oddziałach i kółkach) przyczynili się do pomnika Mickiewicza, przez zbieranie składek i urządzenie odczytów.

IV.

Bez przesady powiedzieć można, że w ciągu trzech dni, chwili jednej napróżno nie stracono: pierwszego dnia od godziny 4-jej to jest zaraz prawie po obiedzie rozpoczął się w „Zaciszu“ festyn na cześć uczestników zjazdu; tutaj przy dźwiękach „Harmonii“ przy loteryi fantowej i fajerkach, inteligentniejsza ludność Kołomyi i jej okolic nawet zbliżyła się z przybyłymi, zawarto wiele znajomości, wymieniono wiele myśli. Drugiego dnia członkowie zwiedzili wystawę czasopism, z której, nawiasem mówiąc, nikt podobno żadnej nie odniósł korzyści, zwiedzali szkołę garncaństwa, racjonalnie na podstawie nauki i rysunków prowadzoną przez p. Sikorskiego, wykwalifikowanego w Wiedniu; tudzież wystawę a raczej bazar, wyrobów huculskich, zostający pod opieką oddziału czarnohorskiego Towarzystwa Tatrzńskiego. Zaraz potem odbywały się równocześnie dwa posiedzenia sekcyjne. Wieczorem amatorzy a właściwie (mówiąc stylem galicyjskim) Towarzystwo miłośników sztuki dramatycznej polskiej, odegrało starannie *Starego męża* Korzeniowskiego. Kommissya sędziów, pracując nadzwyczaj mozolnie nad porównaniem i ocenieniem przedmiotów wystawy szkolnej, musiała się wyrzec wszystkich przyjemności i rozrywek; to też trzeciego dnia zjazdu miał z czem wystąpić professor Żuliński, przedstawiając bardzo szczegółowe sprawozdanie kommissy z motywami i szeregiem rezolucyj.

Niektóre szczegóły zjazdu nie podobały się Rusinom, którzy podobno wyrobili już sobie statut odrębnego Towarzystwa Pedagogicznego, nie okazali jednak swego niezadowolenia na obradach: wykład zaś pana Bolesława Baranowskiego: *Przeглядъ wszystkich систематъ графики и ортографіи руской*, Rusinów właśnie miał przedewszystkiem na względzie i zyskał uznanie nawet przewrotnych czasopism rusińskich. Mówca, umiejętnie bardzo, przy pomocy rysunku objaśnił *glagolice*, to jest alfabet wynaleziony przez Cyryla i Metodego, dalej wykazał, jak powstała *cyrylica* z zastosowania do brzmień słowiańskich znaków graficznych greckich, z kombinacji run dawnych i glagolicy, albo też z własnego pomysłu Klemensa, który nowy ten swój alfabet nazwał *cyrylicą*, przez cześć dla mistrza swego Cyryla. Wykazał następnie trudności, jakie pisownia na grafice kirylickiej oparta napotyka w szkole, gdzie niekażdy znak wyraża dźwięk właściwy lub kilka znaków ma to samo brzmienie, lub też jeden znak ma różne brzmienia. Wykazał dalej znaczenie reformy Wuka Karadzicza dla pisowni serbskiej, na podobieństwo której zreformował grafikę rusińską Święcicki, a za nim poszedł professor Ogonowski. Pan Baranowski poprzestał na wykazaniu zalet i niedostatków główniejszych systematów ortografii i grafiki kirylickiej i łacińskiej.

Zgromadzenie przyjęło do wiadomości protokoły z posiedzeń sekcyjnych: 1) Sekcja szkół średnich, obradując nad czasopismem, poświęconem sprawom średniego wykształcenia, i uznając je w zasadzie za potrzebne, nie mogła zdecydować: czy utrzymałoby się ono w Galicyi, dlatego zostawia rzecz tę do bliższego zbadania zarządowi głównemu, aby się zniósł z szerszym kolegi nauczycieli, aby zbadal, czy takie czasopismo mogłoby ogólniejszy obudzić interes i liczyć na współpracownictwo i prenumeratorów wśród nauczycieli i publiczności

polskiej wogóle. 2) Na posiedzeniu sekcji szkół ludowych, p. Baranowski mówił o nowych środkach, uzmysławiających naukę geografii w szkole początkowej; wykazawszy, jak ważną rzeczą dla nauczyciela i dla uczniów jest znajomość swego powiatu, przedstawił na wzór dwie mapy dwóch powiatów na Morawach, wykonane w Instytucie Geograficznym w Wiedniu, wyraził przytem ubolewanie, że żaden powiat w Galicyi nie postarał się dotąd o podobną mapę, zwłaszcza, że znalazłby wszelkie wskazówki i ułatwienia w rzeczonym instytucie, gdzie pracuje bardzo zdolny i uczynny ziomek nasz, Emil Latoszek. Następnie okazał tablice tegoż Latoszka, bardzo pięknie wykonane, przedstawiające najważniejsze stosunki fizyczno-geograficzne, stosunki ziemi wogóle, a więc konfiguracją pionową i poziomą kraju, widoki geologiczne, oraz stosunki oro-i hydrograficzne. Mają one być powtórnie wydane po przetłómaczeniu tekstu niemieckiego na polski. Pan Kowalówka podniósł potrzebę wydawania obrazów geograficznych własnego kraju, obejmujących widoki gór, źródeł, ujścia rzek, widoki miast, świątyń i budowli starożytnych, tudzież typów ludowych z różnych stron kraju.

Resztę ostatniego tego posiedzenia zajęły sprawy formalne Towarzystwa, a zwłaszcza wybory na członków Zarządu głównego, mocą których zostali potwierdzeni wszyscy prawie dotychczasowi; prezesem nadal pozostał p. Sawczyński, wiceprezesem p. Gerstmann. Posiedzenie zakończyło się mową prezesa summującą prace zjazdu i zaznaczającą stosunek Towarzystwa Pedagogicznego do ludności. Mówca zauważył, że przewodniczący Towarzystwu, nie nauczycielskiemu lecz pedagogicznemu, co znaczy, że nie tylko nauczycieli, ale wszystkich, których sprawa wychowania obchodzi, Towarzystwo pragnęłoby widzieć w swoim gronie.—Słusznie zauważył jeden z korespondentów warszawskich, że możeby ta uwaga zbyt czuła była, gdyby towarzystwo, które tak pięknie się rozwija, tak czynnie zajmuje się sprawami wychowania i nauczania szkolnego, częściej poruszało sprawę wychowania domowego.

Zaraz prawie po zamknięciu zjazdu nastąpiła uczta pożegnalna, wydana przez miasto, do której obok uczestników zjazdu zasiadły wszystkie wydatniejsze osobistości miejscowe. Burmistrz Trachtenberg wznosił pierwszy toast na cześć cesarza. Prezes Sawczyński, dziękując za gościnne i serdeczne przyjęcie, wznosił toast za pomyślność i rozwój miasta Kołomyi w ręce burmistrza Trachtenberga i pastora Schedel'a. Inspektor Baranowski w wymownych i serdecznych słowach przemawiał za miłością w rodzinie i miłością w narodzie, wznosząc toast na cześć Rady powiatowej w ręce tego, co pod tak dobrą wróżbą powitał zjazd przed trzema dniami. X. Koblański odpowiedział toastem wzniesionym na cześć nauczycieli. Piękne było przemówienie prof. Pieniążka ze Stryja; zaznaczył on, że naród każdy miał swoich gęślarzy i lirników, którzy bronili jego tradycji, jego wiary, jego ideałów; że mieliśmy wielkich poetów, którzy wycisnęli w literaturze piętno nasze narodowe. Dziś gdzie tylko pole do usług narodowi, stają tam pracownicy pióra; a postępowi sprawy wychowania przyniosła prasa niemałe usługi, bojując za nią, łamiąc zapory lub uprzedzenia. „Dziś wznoszę toast na jej cześć w ręce obecnych tu dziennikarzy, którzy na żadnym z dotychczasowych naszych zjazdów nie zgromadzili się tak licznie“.

Po serdecznych pożegnaniach rozjechali się tegoż dnia pedagodzy; część tylko pewna pozostała, aby dnia następnego wyruszyć w daleką wycieczkę do Żabiego i na Czarnohorę, o której-to wycieczce pisał już do „Bluszczu“ galicyjski korespondent tego pisma.

* * *

W zakończeniu powinniśmy rzucić jeszcze parę rysów dla uzupełnienia ogólnego obrazu Towarzystwa Pedagogicznego; sądząmy przecież, że opowiedziane dopiero co fakta, przemówienia a zwłaszcza zagajenie prezesa, które staraliśmy się w znacznej jego części odtworzyć, przedstawia

nam, nietylko program ale i ducha Towarzystwa i barwę jego. Widząc ciągiły rozrost i postęp Towarzystwa, nie myślimy robić mu zarzutów, jak n. p., że ma zbyt urzędowy charakter. Czyż całe Towarzystwo o to winić, że niektóre kółka i oddziały żadnego nie dają znaku życia, nie prenumerują „Szkoly“, nie nadsyłają składek ani wykazów; że byt materyalny wielu jeszcze nauczycieli w opłakanym stanie, że dziś jeszcze domagał się jeden nauczyciel, i to przez telegram, od zjazdu imieniem swego kółka, aby „nauczycielom dozwolili pisarzy gminnej?“ wierzymy w lepszą przyszłość. Towarzystwo wiele ma jeszcze do zrobienia na polu wychowawczym w Galicyi, w której, jak ostatni spis ludności wykazał, na 6 milionów mieszkańców 82% nie umie czytać ani pisać, w której 2413 gmin nie mają jeszcze szkół ani własnych ani wspólnych z innymi gminami, w której na 2000 mieszkańców i na 300 dzieci w wieku szkolnym jedna przypada szkoła.

I taką-to Galicyą, *risum teneatis!* posądzono przed niedawnym czasem o „hiperprodukcję intelligencji!“

Korrespondencja zagraniczna.

Wiedeń, w lecie 1882 r.

Nieco o gastronomii.—Bodega. Kwiaty i cukierki.—Dramat.—Artysta oszust.—Zabójstwa.—Bomba i wystawa.—Zniknięcie dziewczyny.—Sensacyjne śpiewaczki.—Kolonie wakacyjne.—Semmering. Maszyna drukarska.—Drzewo niezapalne, wynalazek polski.—Cudowne dziecko.—Słoweńcy.—Józef Jurcic.—Państwo Schliemanowie.

(?) Upraszam łaskawe czytelniczki o uwolnienie mnie dzisiaj od korespondencji, a natomiast proponuję, żebyśmy sobie pogawędzili, nie politeracku, bez pretensji, ot tak sobie „trzy po trzy“, jak to bywa w domu przy herbacie, w zaufanym towarzystwie.

Propozycją uważam za przyjętą; bo kto jest na wsi, to przecież, mimo rozmowy z naturą, nie zrzeka się rozmowy z ludźmi, a kto się tuła po pustym mieście, ten zapewne tęskni za rozmową z dalekimi bliźniami.

Tutaj-bo żadna porządna osoba nie wierzy nigdy i nie przypuszcza, że są ludzie, którzy przez lato wytrzymują w mieście, w jakim Krakowie, Lwowie, lub Warszawie. Trudniej jeszcze pojąć, jak Wiedeń może wytrzymać w swoich t. z. Sommerfrischen, na przedmieściach, które są miastami, mającymi tylko, oprócz ścisiku i natłoku, jeszcze kurz, większą drożyznę i więcej okropnych katarynek „dudlających, jak mówi Staszic, blahorytne świsty“. Gdyby Wiedeń był w możności porównać stan rzeczy w naszych miastach ze swojemi Sommerfrischenami, to mogłoby z tego wynikać, żeby na lato zjeżdżał do naszych miast. Twierdzenie to, mogące pocieszyć tych, którzy są przykuci do bruku, n. p. Warszawy, nie jest wcale żartem. Proszę rozważyć: Czegóż człowiek przedewszystkiem potrzebuje? Pokarmu fizycznego i duchowego. Z duchowym jakoś zawsze łatwiej; mniej więcej zależy on od nas samych; zresztą w lecie ogólna panuje skłonność, żeby pod względem duchowego pokarmu naśladować czterdziestodniowy post d-ra Tannera. Lecz co do fizycznego pokarmu, to w Wiedniu daleko trudniej, niż u nas. Przykłady: Ma Wiedeń wyborne mięso — w znacznej części z polskich wołów — ale najpierw tak drogie, jak lekarstwo, a mimo to ucziwej pieczeni, poledwicy, nie ma, niejada. Przyczyna bardzo prosta, bo nie ma masła. Co to jest masło, które przynoszą ucziwe „baby“ ze wsi, albo sprzedają nasze *przekupki*, te perły grzeszności, słodczy dobrego wychowania i naiwności kupieckiej w porównaniu z wiedeńskimi? — to my wiemy. My zatem możemy bez pomocy chemika od razu poznać i doznać, że w całym Wiedniu, u żadnego Sochera, u żadnego Hoflieferanta, placąc 3 zlr. 60 c. za

1 kilo, czyli 1½ rubla za funt t. z. masła do herbaty, przecież tego, co się u nas nazywa masłem, nie dostanie. Towar tutejszy jest to wytwór podobny nieco do Goplany, z piany i z jakiejś galarety, które na gnij przyskają, ale się nie topią. Towar ten ma więc tę własność, że i najlepsze mięso zepsuje. Wiedeń nie wie o tem, że to nie masło, bo masła nigdy nie widział, bo gdy wyjeżdża „aufs Land“, to dostaje tam masło owo sprowadzone napowrót z Wiednia i droższe jeszcze. Ale gdyby Wiedeń raz naszego masła skosztował, toby na lato zjeżdżał do Warszawy.

A jakie są dalsze skutki z tego braku masła — oto, że w ogóle na całym świecie niema gorszej kuchni niż w Wiedniu i wskutek tego Wiedeń z jedzenia ucziwego prawie zupełnie zrezygnował, bo mu nie smakuje. Na obiad niby się „pod blachą“ zaświeci; coś tam przelkną, byle zbyć, damy obławowują się przez cały dzień kawą (Boże, co za kawa! — z wodą udającą mleko!) i ciastami — Kuchen. — Wieczorem coś tam znowu wszyscy przelkną w piwiarni, lecz tylko na to, żeby lepiej można pić, żeby mieć choć płynny pokarm przyjemny. Piją też w jeden wieczór tyle, ileby przeciętny, a spotwarzany na tym punkcie, Słowianin, przez miesiąc nie wypił. Ale i te nektary, to od siedmiu boleści. Mają swoje wina, austriackie, tanie, jak barszcz, bardzo podobno przyjemne; lecz cóż kiedy ich nie piją, bo ich nie dostanie, tylko fałszowane, a o istnieniu węgierskich — *naszych* win, nawet nie wiedzą. Piwo zato dobre, czeskie i tutejsze — piwo jest tutaj synonimem ojczyzny. Ale gdyby wiedzieli, że to samo czeskie, albo równie dobre, polskie, jest u nas o 2 i 3 grosze tańsze — toby do nas na lato do miasta zjeżdżali. Jedno, cobyśmy od nich wziąć mogli — to wodę, z alpejskich źródeł; ale oni jej nie piją, nawet w herbacie, której tu w domach nie używają — bo nie siedzą w domu. A co do kąpeli — do Wisły pięć kroków; tutaj chcąc zakosztować Dunaju, trzeba się ofiarować na podróż wymagającą czterech godzin do łaźni miejskich t. z. prądowych; kanał bowiem dunajowy przecinająca miasto płynie, ale nie wodą...

Kiedy już mowa o wodzie, to trzeba dodać, że żadna Wiedienka w życiu swoim nie piła mleka i nie wie co to jest śmietanka. Tam u nas to się lecają mlekiem kwaśnym; tutaj zaś d-r Stokmar z Krakowa zaleca jako pierwsze przykazanie: zupełne wstrzymanie się od wszystkiego co się tu mlekiem nazywa, czy ono jest z pianą, czy bez, czy z mąką, czy z kredą, czy we flaszcze zapieczętowanej, czy w blaszance zamkniętej na klódkę — zamkniętej po wlaniu wytworu, który nędznie naturę naśladuje.

A inne kordyały? n. p. poziomki! Wstyd lamentować z tak poziomego powodu — ależ bo trzy poziomki za centa! (Dodam w nawiasie, że zato morele i winogrona bardzo tanie. I jeszcze dodam, że Angielczyki zaczynają tu rządzić jak w Egipcie, zrobili tu rewolucją *winną*, otworzyli dwie bodegi (boutiques) w których wina hiszpańskie prosto z beczek szynkują na kieliszki, a butelka n. p. Sherry, za którą tu w handlach placono dotąd 6 zlr., w bodedze kosztuje czwartą część tej ceny. Wiedeńczycy zaczynają już gustować w tych płynach ognistych, a słyszę, że i Warszawa ma dostać bodegę). Lecz przejdźmy do wyższych potrzeb. Kwiaty — jest to moda i namiętność Wiednia, jedyna konsolacja dla potępińców oddychających spiekłym wapiennym kurzem i wyziewami kanałów. Konsumcja kwiatów jest tu ogromna, każdy surdut pochłania dwa, trzy codziennie; bukiety, wieńce są tu potrzebą i zwyczajem, drogą do serc i oznaką sławy. Ale proszę zważyć, że przyzwyczajony bukiet nie może tu mniej kosztować niż 15 zlr. No, to przecież u nas galanteria na taką ruinę nie naraża.

Innych także słodczy życia, mącznych, owocowych, jest tu konsumcja piramidalna. Skutek tego taki, że wesole Wiedienki są zbudowane w stylu bizantyńskim; żadna dama z *dobrego domu* nie waży mniej od 3 cetnarów. Corok usiłuje zostawić z nich w Marienbadzie choć 3 kilo, a zato przez zimę znowu 15 kilo nabywa. Sławne słodczy, lody, robi Demel, ale dalibóg nasze lepsze a tańsze — ciasteczka zaś Demla mają się tak do

buleczek św. Agaty, jak Liliputowie do Guliwera. Widziałem „królewia“, który naraz sześć w usta schował, a ta operacja wcale wymowy jego ani na chwilę nie zatamowała. Cukierki! przyzwyczajone pudełeczko mogące być ofiarowaniem, nie istnieje w cenie niższej od 6 zlr.

A zatem... lecz dajmy pokój wnioskom, natomiast opowiadajmy sobie, jakie kto miał rozrywki w ciągu lata. Ja zaczynam:

Dramat w Ottesheim: Francuzka wraz z przyjaciółką zastrzeliły się w parku uwodziciela. Dlaczego obie? tajemnica; listy zostawione mówią, że bez siebie żyć nie mogły, a jedna musiała przestać żyć, żeby osobą swoją nie być zawadą i żeby zmusić ojca do zaopiekowania się sierotą. Motyw nowy szlachetny; było zajęcia przez cztery tygodnie, póki nie przyszło coś innego.

Proces Hoffmana. Syn szklarza z Karlsbadu mianował się baronem, robił interesy z bankami, z księżętami, z ministrami, budował okręty, zgarniał i sypał pieniądze w Londynie, w Berlinie, w Wiedniu, w Petersburgu, aż biedny rękodzielnik go zaskarżył — i okazało się wszystko oszustwem człowieka o „genialnych“ zdolnościach.

Zabójstwa dla rabunku, jak zapisał, co tydzień jedno — a w Peszce nie lepiej, tam cały pałac hr. Andrassy'ego złodzieje spłądowali, ale specjaliści, zabrali tylko ordery i portrety w brylantowych oprawach i inne klejnoty. Zresztą spokojnie odeszli i znikli bez śladu.

W Tryeście bomba, czy petarda, która miała odstraszyć ludzi od przyjazdu dla zwiedzenia wystawy. Skutek jednak przeciwny, powszechne oburzenie, osobne pociągi wystawowe. Jest tam już oddział wyrobów *Bosni i Hercegowiny*.

Węgry całe w gorączce z powodu sprawy o zniknięcie dziewczyny w Tisza-Eslar; oskarżenie o zabójstwo rzucane na żydów — sprawa niewyjaśniona dotąd.

Wiedeń zupełnie bez teatrów, nawet opera miała jeden miesiąc wakacyj, ale też potem zato sezon *sensacyjny* ról gościnnych, śpiewaczek, z których żadna nie miała mniej od 50 lat, a przytem kolosy, nie kobiety. Było z tego powodu dowcipów na kopy, ale przedstawienia pełne, bo te antyki ślicznie śpiewają. Pani Wild n. p. jest babką licznego potomstwa, zawołaną gospodynią, która sama kuchnią prowadzi, sama zamiata, odznacza się konwersacją prosto z mostu, a śpiewa jak anioł.

Wszelkie towarzystwa śpiewacze urządzają po ogrodach i w Praterze koncerty i Sommerfesty z wszelkimi możliwymi hecami; loterya, tańce, kuchnie ambulansowe pod gołym niebem, dające zupę i pieczeń *niefalszowaną* za 30 c., ognie sztuczne, balon i t. p. Są to surrogaty zabaw wiejskich. Rzesza miejska tłoczy się, a różne dobroczynne cele dobrze na tem wychodzą. Przez pośrednictwo zabawy można z Wiedniem zrobić, co kto zechce. Wielką sympatją cieszą się *kolonie wakacyjne*, dla których także przez zabawy kwestowano. Jeszcze ta instytucja niebardzo się tu rozwinięła, ale przecież około 300 dzieci używa swobody, powietrza, wody i prawdziwego mleka. Dla zachęty rozdawano rozprawki o rozwoju tej instytucji w Niemczech. Tego roku w Niemczech umieszczono w koloniach wakacyjnych przeszło 10,000 dzieci z 50 miast, które wspólnie do jednej kasy centralnej na ten cel dobrowolne datki składają. Wszystkie stany biorą udział w tem dziele, a zajmują się niem głównie kobiety, czyli, że cały naród pracuje nad tem, żeby pokolenia z nędzy, choroby, brudu i zdziczenia wydobyć. Urządzono tam osobne lecznice dzieci w miejscach kąpielowych nad morzem. Stoją na czeluście całego ruchu i czynnie mu przewodniczą następcy tronu i ministrowie, bo jest to działanie zarówno chrześcijańskie, cywilizacyjne, jak i polityczne. Jest to propaganda najlepsza przeciw nienawiści i rozgoryczeniu wydziedziczonego proletaryatu, gdy się tak czynnie o dzieciach jego pamięta. Kolonie wiedeńskie posuwają się już nieco dalej od miasta, w góry, jak w ogóle widać w całej ludności pewien zwrot w tej mierze. Za trzy godziny przybywa się z Wiednia w sam środek i na szczyty Alp Styryjskich i Karyntyjskich, gdzie mieszka prawdziwe zdrowie i jeszcze nie jest

tak drogo. Wiedeń ma okolice ze wszystkich stron przepyszne, z których dotąd nie korzystał, ograniczając się na przeludnione Vororty, albo wyjeżdżając do t. z. Salzkammergut, do Ischl — do miejsc kąpielowych, przepelnionych, wyszukanych, albo do Baden i Voelsau, które są pochodzenia jerozolimskiego. Tego roku nareszcie wybudowała kolej południowa hotel na Semmeringu w Alpach. Tam jest miejsca dosyć, tam i dla miliona ludzi nie byłoby ciasno. Więc też Wiedeń zaczyna gustować w tej prawdziwej naturze i z pewnością z każdym rokiem będą tam nowe domy letnie wyrastać. Alpy austriackie w tej stronie nie są dzikie, chociaż wysokie, krajobrazy wesołe, roślinność bujna, tylko mało wody. Oprócz t. z. turystów, którzy w kostiumach przepisanych co niedziela tam wyjeżdżają, są to dla Wiednia świąty zupełnie nowe, których zaludnienie w lecie pierwszy raz teraz się zaczęło. Jest tam tak dobrze, że się *prawie* Tatry przypominają.

Poruszono też osobną broszurą myśl wakacyjnych podróży pieszych dorastającej młodzieży szkolnej, o czem już raz wspominałem i cieszę się, bo myśl to widać dobra, skoro się w różnych miejscach pojawia. Warto i u nas o tem pomyśleć.

Wielkie zajęcie obudzała w Wiedniu wystawa drukarska, urządzona przy sposobności czterechsetnej rocznicy tej sztuki. Pokazało się jednak przy tej sposobności, że chociaż to wynalazek niemiecki, my posiadamy starsze druki, o czem oczywiście Niemcy nie wiedzą. W klubie graficznym okazywał też tu wynalazca nową maszynę do składania i rozbierania czcionek. Zdaje mi się, że maszyna ta rozwiązuje zadanie. Przyrząd jest bardzo prosty, zecer przy nim siedzi, nie potrzebuje ani nateżać oczu, ani rąk, tylko paleczką zlekka przyciska odpowiednią literę, jakby na klawiaturze, złożonej z trzech blaszek — a maszyna, którą porusza albo noga, jak u maszyn do szycia, albo para, sama czcionki w wiersze ustawia. Zecerzy nabraliby za kilka dni wprawy w tej grze, robota szłaby prędko, a prawdopodobieństwo omyłek ograniczyłoby się prawie do zera. Taki sam przyrząd służy do rozbierania t. z. *satzu* — i drugi zecer może równocześnie, także siedząc, przy tejsamej maszynie czynność tę załatwiać. Sądzę, że jestto wynalazek ważny, korzystny dla zdrowia i wnet się rozpowszechni.

Z innym wynalazkiem robił tu próby pod kontrolą komisarzy rządu i wojska p. Bohdan Hof, nauczyciel chemii w szkole realnej w Jarosławiu. Przyrządza on *drzewo niezapalne*, prawie bez kosztów, zapomocą bezwartościowych jakichś odpadków. I temu wynalazkowi, z którym pojechał do *Warszawy*, wróżą wielką przyszłość. P. Hof był pierwój aptekarzem w Krakowie i pierwszy tam zaprowadził naturalne przerabianie wina, na szampańskie.

Wracając do dzieci, godzi się zapisać, że w Peszcie staje nareszcie pierwszy i jedyny na całe królestwo szpital dla dzieci, przeważnie ze skladek prywatnych. W Wiedniu jest ich 5, a wszystkie są prywatnymi fundacyami.

Wypadkiem dnia prawie była w Wiedniu anegdota, bajka o *cudownem dziecku*, którą ze szwedzkiego pisma „Nerikos Allehande“ wszystkie tujsze pisma powtórzyły, o której wszędzie mówiono, tak bowiem trafia do usposobienia tego miasta, w którym wychowanie dziewcząt zupełnie jest zaniedbane. Od lat 5 chodzą dziewczątka z rodzicami po restauracjach, od lat 8 na operetki i posy, do lat 12 niby się uczą, ale tylko dla formy, bo od lat 13 są pannami dorosłymi i t. d. Jakże ztąd skutki dla społeczeństwa: łatwo pojąć. Na ten temat możnaby ztąd wiele pisać, ale posłuchajmy bajki, z której według potrzeby można rozmaity sens moralny wyciągać.

„Był raz młody, piękny książę, który miał poślubić brzydką, starą księżniczkę. Oczywiście nie chciał. „Ja chcę mieć prawdziwą żonę, wołał tupiąc nogami, piękną, z jasnymi oczami i zdrowym sercem w piersiach“. A był on upartym, nie ustąpił, więc matka musiała mu pozwolić na podróż dla wyszukania żony. „Lecz pod jednym warunkiem, — dodała na odjeździe, — musisz uczynić wybór przed Bożem Narodzeniem i narzeczona twoja musi być *cudownem dzieckiem*“.

„Najpierw odbywał przegląd panien krajowych. Zbierały się one ze swojemi nisko się kłaniającymi matkami. „Co umiecie?“ — pytał książę zakładając szkiełko do oka. — „Umieemy grać na fortepianie 12 godzin z rzędu“. — „Jak dawno to umiecie?“ — „Od trzeciego roku życia“, — zawołały wszystkie matki. — „Co umiecie więcej?“ — pytał książę, który się aż uląkł tylu naraz cudownych dzieci. — „Umieemy śpiewać arye z oper, trudne i tyle, ile kto chce“. — „To zapewne także od trzeciego roku życia? Nie umiecie nic innego?“ — „Umieemy także na pamięć wszystkie francuzkie romanse w dobrych tłumaczeniach i znamy nazwiska ministrów. Chce książę posłuchać? Prezesem ministrów jest...“ — „Nie, nie, dosyć, to okropne; cały regiment lewo w tył, zwrot, marsz, marsz“. — Przygnębiony, upadł w ramiona szambelana. Inne dziewczęta, które mu prezentowano, były jeszcze większemi cudownemi dziećmi. Były między niemi takie, które miewały sny pogrecku, inne które nazywały porcelaną zakwaszoną krzemionką gliny: słowem książę był w rozpacz na myśl, że ostatecznie będzie musiał poślubić starą, brzydką księżniczkę. Poznał już prawie wszystkie panny krajowe, a dzień wyboru się zbliżał. Była to wigilia Bożego Narodzenia; książę zasmucony szedł ciemnymi ulicami do pałacu. — „To będzie gwiazdka moja, ta stara księżniczka, — wzdychał; — ach, gdybym i ją mógł powiesić na choince!“ Naraz przystanął przed małym domkiem. Story nie były spuszczone, można było przejrzeć, co się wewnątrz dzieje. Był to miły, ładny pokój aptekarza dworskiego. Staruszek stał smutny przy choince i patrzył w obraz zmarłej żony. Przy nim stała córka, opierając głowę na jego ramieniu. I ona miała łzy w swoich łagodnych, niebieskich oczach. Książę dziwnie się robiło na sercu; zamyslił się o swoim wesołym dzieciństwie, gdy mu jeszcze wolno było bawić się z małemi, ładnemi dziewczátkami, które też, ot jak między dziećmi, nawet nieraz całował. Nim szambelan się spostrzegł, książę otworzył drzwi i stanął przed zarumienioną panią.

— Moja mała Klarcu, — odezwał się, — proszę cię, odpowiedz mi na pięć pytań. Szczęście mojego życia od tego zależy. Jak dawno grasz na fortepianie?“

— Ja nie gram wcale, — odpowiedziała zdumiona.

— Jak długo uczyłaś się śpiewać?

— Ja nie umiem śpiewać, — odpowiedziała coraz więcej zdumiona.

— Ile romansew francuzkich czytałaś? — pytał dalej zadowolony.

— Jeden, jedyny.

— Jak się nazywają ministrowie?

— Dalibóg nie wiem.

— Co to jest zakwaszona krzemionka gliny? — pytał dalej radośnie i ujął ją za rękę.

— Ba, gdybym ja wiedziała co to takiego....

— A więc jesteś naszym największem cudownem dzieckiem i dlatego musisz zostać moją narzeczoną, — zawołał zachwycony, — uściskał ją i tańczył z nią około choinki, a potem i ze starym aptekarzem, który był wzruszonym. Książę obcałował go i oboje młodzi, ręka w rękę poszli do pałacu.

„Pani matka zrazu okrutnie się przeleżała tego wyboru, ale gdy jej syn opowiedział, że Klarcia nie gra na fortepianie, nie zna francuzkich romansew ani nazwisk ministrów, ani nie ma pojęcia o tem, co to jest zakwaszona krzemionka gliny — wtedy i matka księcia tak się wzruszyła, że pocałowała w czoło nadobną panią i rzekła: „Synu mój, weź ją za żonę, to prawdziwie cudowne dziecko“...

Do cudownych rzeczy należy w Austrii rozkwit narodu czeskiego. Uniwersytet narodowy w Pradze jest już urządzony; znalazło się dosyć sił do obsadzenia wszystkich katedr, a teatr narodowy, po spaleniu już odbudowany, za kilka tygodni zostanie otwartym.

Niemniej cudownem jest odrodzenie narodu i literatury słoweńskiej. Najnowsze rozporządzenia rządu przywracają Słowenom, oprócz ludowych, także znaczną część średnich szkół i seminaria nauczycielskie z językiem wykładowym słoweńskim. Niemcy, naturalnie, zgrzytają zębami.

A czy słyszał kto u nas o *Józefie Jurcicu*? Oto

w tych dniach, w odległym zakątku Krainy, inteligencya narodu słoweńskiego zamieściła w *Mulawie* uroczyste na jednym domu tablicę z napisem: „W tym domu d. 4 Marca 1844 urodził się Józef Jurcic, słoweński poeta i prozaik“.

Kto był Jurcic, zmarły zawczasem? Był to słoweński Kraszewski. Wystąpił on w r. 1864 i stworzył najpierw belletrystykę słoweńską. Jako uczeń siódmej klasy gimnazyalnej wydał już powieści: „Jurij Kozjak“ i „Domnom“. Za niemi poszły liczne opowiadania, nowele, romanse, które sprawiły, że odrodzony naród słoweński *ma co czytać*. W czynności autorskiej swojej miał głównie na celu podanie zdrowego pokarmu dla młodzieży, dla kobiet tworzącej się intelligencyi warstw średnich. Był też doradcą, bodźcem, mecenasem dla pojawiających się innych talentów. Dla chleba, ale i dla idei, poeta, został dziennikarzem, był naczelnym redaktorem pisma „Slovenski Narod“. Za rządów rechtownych centralistów niemieckich, nie przestawał wołać: „Górą serca, stosunki się zmieniają, przyjdzie na nas kolej“. Niestety, nie doczekał dzisiejszej pierwszej jutrenki równouprawnienia Słoweńców wobec Niemców. Oile jednak sam polityką się zajmował z konieczności, o tyle wszelkich dokładał starań, żeby młodzież zawczasu się nie marnowała, żeby się uczyła, dźwigała kraj przemysłem i oświatą. W prywatnem swem życiu był serdecznym, szczerym druhem i ojcem — powszechną też cieszył się miłością. Wiedeń, stolica państwa z różnych krajów i ludów złożonego, nie zajmuje się tem życiem „krajów“; tylko dzienniki niemieckie dworują sobie z nich, ruszają ramionami na te „interesujące narodowości“, na Słoweńców, Szlązaków...

Wiedeń woli tłumnie się gapić i chodzić krok w krok za nabobem indyjskim, który się tu, niestety, na cztery dni tylko pojawił. Natomiast o dwudniowym pobycie Schliemanna z żoną, nikt ani wiedział. A przecież ci oboje są to osobistości nader wybitne, ideowe, wzór pod względem pracy naukowej, wytrwałości i pożycia małżeńskiego. Lecz cóż poradzi nawet Schliemann wobec takich stosunków, że gubernatorzy turecy nie pozwalają mu zdjąć nigdzie żadnego planu z odkopanych miast, grodów i grobowisk — podejrzewając, że to może być materiał wojenny!

ZYCIE W CHINACH I JAPONII.

przez

A. Dubard'a.

Z Tonkinu do Chin — Opowiadanie przyjaciela Barrot. — Barbarzyńcy w Chinach; kilka szczegółów z ich życia w Szangaju. — Papierowe polowanie. — Wspomnienia z dzieciństwa. — Fryzjerzy, cukiernicy i doktorzy w Szangaju. — Dentyści. — Nicco o Japonii.

I.

Po licznych, mniej lub więcej nieprzyjemnych, przygodach i zmianach, porównie długich jak nieprzewidzianych zwłokach czasu, okręt nasz, noszący nazwę *Skrzydlatego* (l'Ailée), w rok po wypłynięciu z Francji miał nareszcie wpłynąć na wody Morza Chińskiego.

Na pokładzie tysiąc razy przeklinano dolę swoją, przeklinano rozkazy władzy, zmieniające pierwotny cel wyprawy; lecz zapominano o wszystkim, na myśl przyjemności, jakie oczekiwały załogę przy dłuższym pobycie w Szangaju, Hong-Kong i na wybrzeżu poetycznego kraju Daimiosów.

Barrot, officer sztabowy, był jedynym zpośród nas, który znał te strony, spędziwszy w nich dwa lata jako ochotnik marynarki: co chwila też zarzucaliśmy go pytaniami.

— Czy Szangaj piękne miasto? — jak się w nim żyje? — jakie są zwyczaje Europejczyków w tych wszechświatowych miastach dalekiego Wschodu?

A Japonia? Och! co do Japonii byliśmy niena-

syceni. Poczciwy chłopiec odpowiada na wszystko, oddając nam z całą uprzejmością bez zniecierpliwienia, wiedząc swą pod tym względem.

Pewnego dnia po południu, w wigilię przybycia do Hong-Kong, gdzie jednak mieliśmy się kilka dni tylko zatrzymać, podążając do Szangaju, Barrot z przyczyny jakiegoś zapytania, zadanego mu przez porucznika Gastinet, obiecał nam poświęcić godzinę na obznajomienie nas z przedmiotem, który nas tak żywo zajmował. Naturalnie, daliśmy głośne bravo Barrotowi, każdy usadowił się jak mógł najwygodniej; matematyk nasz, zwinawszy papierosa, zasiadł przy stole na honorowym miejscu i zaczął w te słowa:

„Życie cudzoziemców na dalekim Wschodzie zasługuje wistocie na szczegółowe badania. Jest to widok nader ciekawy: patrzeć na reprezentantów zachodniej cywilizacji, pomieszanych ze sobą i, rzecz można, potracających się w ograniczonej przestrzeni, wyznaczonej dla *Barbarzyńców* przez Państwo Niebieskie i dla *Idzin-san* przez rząd Mikada.

— *Barbarzyńcy*... *Idzin-san*... co to znaczy? Żądamy więcej dokładności—rzekł doktor.

„Śpieszy ci się bardzo, kochany eskulapie—odparł nasz prelegent—ale dobrze; nie jestem zdolny nie ci odmówić: *Barbarzyńcy* to Europejczycy w Chinach. Chińczycy nie umieli dla nas znaleźć miłszej nazwy; *Idzin-san* zaś—tłumacz: *Panowie cudzoziemcy*,—to Europejczycy japońscy. Czy jesteś zadwolonym?

— Najzupełniej.

— A więc, jeżeli nie macie nic przeciwko temu, mówię dalej:

„Otóż z tego przymusowego zbliżenia się, z tego niuniknionego pomieszania, zdawałoby się, powinno wynikać zupełne zjednoczenie, skrzyżowanie narodowości: jednakże wcale tak nie jest — i to stanowi oryginalną stronę tego zbiorowiska różnoplemiennego. Jeżeli idzie o obronę przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi, porozumiewają się i jednoczą na jeden dzień, lecz tam, gdzie występują na scenę interesa osobiste, egoizm rozdziela wczorajszych sprzymierzeńców i każdy się chroni pod sztandar swej narodowości.

„Przyznać wszakże trzeba, że chociaż każda narodowość zachowuje swój odrębny charakter i właściwe sobie niektóre zwyczaje; na wszystkie jednakże oddziaływa wpływ obyczajów angielskich. Tak jest szczególnie w Chinach.

„Anglik uważa to za punkt honoru, aby w całym świecie pozostał Anglikiem; to stanowi jego dumę narodową, a ponieważ osiedla się zwykle na stałe, a przynajmniej z mocnym postanowieniem powrócenia do kraju dopiero po zebraniu majątku, zatem w dalekiej przyszłości, więc pragnie dać sobie, jako wynagrodzenie za dobrowolne wygnanie, oprócz wygodnego komfortu, jeszcze wszelkie możliwe złudzenia, niejako przewieźć ojczyznę w tłumokach. Tam też, gdzie Anglik rozpina swój namiot, natychmiast zjawiają się jak-by cudem: klub i gra w krokiet; następnie przychodzą wyścigi końskie, regaty i wkrótce *recreation fund* zaczyna rozwijać swą działalność. Szczytem zaś pomysłowości w tym kierunku jest *paper hunt*.

Niemogąc w bagnach szangajskich polować na lisy, gdzie zresztą niema ich wcale, a na wzgórzach Yokohamy, dlatego, że lis jest tam czczony jak świętość, poddani królowej Wiktorii w uwielbieniu dla rozrywki narodowej, w dziecinny iście sposób, oszukują własną namiętność, zastępując kurczęcióżercę złudzeniem.

„Dwa razy na rok w *holy day*, zaci ni synowie Albionu, przywdziewają czerwony mundur, chude nogi obeiskają skórzanymi pantalonami, dosiadają najlepszych swych biegunów i wyjeżdżają z miasta. A dokąd biegają w tym paradnym stroju?

„Oto przed wszystkimi, o brzasku dnia, wyjeżdża jeden z nich, z kieszeniami wypakowanymi papierem pociętym w drobne kawałki i pędząc

przez równiny, ryżowe łany, przesadzają rowy, brodząc w bagnistych strumieniach, jeżdżąc w tyśiączne zygzaki, zwraca się tam i napowrót w rozmaitych kierunkach; to lis, a jako trop, sieje po drodze zabrane ze sobą kawałki papieru, wreszcie *zakopuje się* w miejsce oznaczone zawczasu przez sędziów, których obrady pozostają w tajemnicy.

„Nieco później, o godzinie umówionej, wyrusza cała gromada, istna lawina, która się rzuca, toczy, pędzi przez pola—to myśliwi.

„Patrząc na tych poważnych dżentelmenów, pędzących, co koń wyskoczy, za papierowym tropem, krajowcy wznoszą ręce do góry i zdumienie ich równa się prawie osłupieniu.

„Gdy Chińczycy po raz pierwszy ujrzeli ten widok oryginalny, podstępny i skryci, jak zwykle, zatarli ręce z radością, mówiąc sobie: — Dobrze! *Czerwone dyabły* oszalały, będziemy ich więc mogli wkrótce wypędzić.—Nazajutrz spotkał ich jednak zawód, gdyż *czerwone dyabły* powróciły do zwykłych swych codziennych zajęć. Dziś zdumienie zawsze jest to samo, tylko znikło złudzenie szaleństwa.

„W Chinach, w Japonii, tak jak i w Indjach—jak wszędzie zresztą, gdzie jest możliwość szczęśliwych spekulacji—Anglicy stanowią większość w obozie cudzoziemców: nic też dziwnego, że przy właściwym sobie charakterze, absorbującym, jakim są obdarzeni, umieją nagiąć wszystko do swych zwyczajów. Amerykanin nawet abdykuje w trzech czwartych ze swej natury yankee, aby się stać napowrót Anglo-Saxonem. Francuz znów, to taka natura zgodna, nawet możnaby mu zarzucić, że mało jest sobą samym, zanadto usuwa swą indywidualność i ze zbyt wielką łatwością przejmuje zwyczaje sąsiada. Inni zaś, jak Włosi, Hiszpanie, Szwajcarzy, Belgijczycy, Hollendrzy, znajdują się w zbyt małej liczbie, aby żyć wodosobnieniu: więc prędzej jeszcze ulegają przewadze brytańskiej.

— Słyszałem, zdaje mi się—wtrącił Gastinet—że Rosyianie wszędzie na Wschodzie tworzą koła zupełnie odosobnione.

„Masz słusność, tak jest rzeczywiście, dlatego też mówiąc o innych Europejczykach, nie wspominałem o nich wcale. Dwie narodowości trzymają się, lub są trzymane na uboczu: Rosyianie i Niemcy—pierwsi, ponieważ przyjęli politykę odrębną zupełnie od innych plemion, ostatni zaś, gdyż się czują podejrzewanymi. Niemiec jest słodkim a gburowatym, gładkim oszustem a przebiegłym zarazem; pod grubą powłoką pokrywającą jego pragnienia brutalne i żądze łakome, pod maską słodkiej grzeczności, znajdziesz niezawodnie niewypowiedzianą pychę, podtrzymywaną wspomnieniem niedawnych zwycięstw. W Chinach trudno mu też dorobić się czegokolwiek; pracuje wspólnie z Chińczykami, obok nich, czyniąc się pokornym ich sługą; w Japonii, gdzie jest nie-nawidzonym, nie lepiej mu się powodzi.

„Do liczby cudzoziemców zaliczyć jeszcze można Makajczyków i Parsów. Makajczycy są to metysi zrodzeni z Portugalczyka i Chinki z Makao, wyrodzeni potomkowie bohaterów opiewanych przez Kamoensa; Parsowie, plemię indyjskie, czciciele ognia, wcielenie przemysłu i, jak mówią, uosobienie uczciwości. Jednakże, chociaż tak jedni jak drudzy zaliczają się do rzędu cudzoziemców, to przecież nie należą do towarzystwa mieszkańców Zachodu z którego są ściśle wykluczeni.

„Anglik więc pozostaje typem cudzoziemca; mówiąc też o jego obyczajach, daje się dokładne pojęcie o obyczajach wszystkich Europejczyków i Amerykanów zamieszkujących na dalekim Wschodzie.

„Miasto Szangaj, zamieszkałe przez Europejczyków leży na lewym brzegu rzeki *Wang-pou* i dzieli się na trzy części: część najbliższa miasta chińskiego), mająca najgorsze położenie, jest dzielnicą francuzką; następnie idzie dzielnica angielska,

przecięta kanałem *Wang-kipang*, nakoniec trzecia, połączona mostem ze swą sąsiadką, to dzielnica amerykańska.

Każda z tych dzielnic jest poniekąd odbiciem kraju, do którego należy, i posiada właściwą sobie cechę.

Tak więc, gdy pod cieniem trójkolorowego francuzkiego sztandaru, i pod osłoną tarczy najstarszej córki Kościoła rozwijają się missye katolickie, a generalny konsulat, morska poczta i ratusz uosabiają naszą administracją wraz z całą jej skompiłowaną i drobiazgową maszyneryą; tak znów wielkie przemysłowe kantory, zielone wille, poważne surowe kościoły przedstawiają w sąsiedniej dzielnicy zamożną handlową i protestancką Anglię; Ameryka zaś gromadzi kawiarnię na kawiarni, szynk na szynku, a dżyn i whisky płyną strumieniami po tamtej stronie mostu.

I gdy dzielnica francuzka, rządzona przez radę municypalną, szamocze się i kona pod ojcowską władzą generalnego konsula, niby mera i prefekta samowładnego, osada angielska, nieobarczana taką ilością przepisów, jest prawdziwym tryumfem prywatnej inicjatywy działającej pod osłoną rozumnej protekcji, nieprzyjaciółki wszelkich za-targów.

Trudno! musimy przyznać, że dzielnica angielska znajduje się w najbardziej kwitnącym stanie i jeżeli przez lat kilka wielkie domy amerykańskich przemysłowców próbowały wydrzeć jej potężną przewagę dollara, dzięki operacyom finansowym, których zuchwale pomysły mogły powstać tylko w awanturniczej wyobraźni Yankee'ich, to dziś zmieniły się czasy: ponure giełdy i telegraf położyły kres złotemu wiekowi.

Minęły czasy, w których fortuny zaczęte z niczego wzrastały na ziemi Niebieskiego Państwa, niby rośliny pod zwrotnikiem słońcem: obecnie na kresach Wschodu trzeba pracować więcej może aniżeli gdzieindziej, aby niewiele zyskać.

Owych bajecznych fortun, ani w Chinach, ani w Japonii, niema dziś wcale. Ale ten zastój handlu na szeroką skalę, nie powstrzymał wcale rozwoju drobnego przemysłu i, jeżeli kupiec znacznego handlowego domu, ponoszącego duże koszty, zaledwo może zrównoważyć rozchody z przychodami za to *store keeper*, żyjący ze sprzedaży europejskich produktów, robi doskonałe interesa i nie zniża cen wcale. Dlatego też najmniejszy wybrzyk rzuca się w szpony wyzyskiwaczy i kosztuje bająnskie summy.

Jeżeli chcesz, na przykład, kazać sobie ostrzyż włosy w Szangaju, to za tę niewinną operacją, wykonaną z miłą niedbałą i niechętną, musisz zapłacić dollara, i tak jest z najmniejszą drobnostką służącą do ubrania. Kapelusze, kołnierzyki, rękawiczki, perfumy, opłacać trzeba po dziesięć, piętnaście, dwadzieścia dolarów. A w dodatku są to wybiorki, rzeczy w złych gatunkach, oddawane na wagę złota przez ludzi, którzy niedość, że cię obdrą, jeszcze wyglądają, jakgdyby ci łaskę czynili. Wszystko co tylko nie jest chińskim, co nie jest wyrobem miejscowym, lub czego Chińczyk nie sprzedaje, staje się prawie nieprzystępnem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się dalszy ciąg powieści pod tyt.: **Na wybrzeżu.**

TREŚĆ. Kilka wspomnień o Szopenie z mojej młodości, (dokończenie), przez Wielisława. — Królewiec i Grunwald, opowiadanie historyczne, (dalszy ciąg), przez Felixa S***. — Zjazd pedagogiczny w Kołomyi, (dalszy ciąg). — Korrespondencya zagraniczna, (Wiedeń). — Życie w Chinach i Japonii, przez Dubard'a.